

Cuda Polski – mityczna przestrzeń, mityczne dzieje*

Grzegorz Graff

Przedmiotem analizy będą tutaj teksty niektórych tomów popularnej serii krajoznawczej pt.: *Cuda Polski*.

Trudno oddać w paru słowach, jak ambitna i pojemna to seria, ile pomieszczono w niej ciekawych tematów. Opublikowana została w latach międzywojennych przez Wydawnictwo Polskie R. Wegnera. Składa się z kilkunastu monografii, poświęconych zarówno geograficznym i historycznym krainom ówczesnej Rzeczypospolitej, jak i poszczególnym większym miastom. Odnajdujemy tam Śląsk, Pomorze, Huculszczyznę. Poznajemy Wilno, Lwów, Warszawę.

Niektóre tomy doczekały się wznowień, inne tłumaczono na język angielski. Wskazuje to na dużą popularność „cudopolskich” monografii. Widać, że chciano zainteresować atrakcjami krajoznawczymi turystów zagranicznych.

Autorzy to często ludzie znani po dziś dzień. Mamy tam G. Morcinka i R. Malczewskiego. W gronie pisarzy widzimy F.A. Ossendowskiego – znanego podróżnika i pasjonata egzotyki. Książki tych autorów należą z pewnością do najbardziej lirycznych i wyczuwalna jest tam lekkość w „pisanu sercem”, że się tak wyrażę. Nie mniej urokliwa jest „cudopolska” narracja S. Wasylewskiego, słynnego niegdyś znawcy historii i obyczaju polskiego. Widzimy m.in. J. Remera – wybitnego historyka sztuki i muzeologa, J. Smoleńskiego – wybitnego geografa.

Oprócz tekstu odnajdujemy bardzo bogatą warstwę ilustracyjną w postaci zdjęć, czasami rycin i reprodukcji obrazów. Każda ilustracja opatrzona jest krótkim komentarzem. Tekst i zdjęcia dopełniają się wzajemnie, tworzą jedną całość. Trzeba przyznać, że piękny i barwny język spotykany na każdej stronie w pełni rekompensuje fakt, że fotografie pokazują świat czarno-biały.

Tak zróżnicowany materiał otwiera wiele możliwości interpretacji. Może stanowić pokusę nie tylko dla etnografii. Sama okoliczność kontaktowania się, poznawania świata, który nie istnieje, który bezpowrotnie przeminął, obfituje w specyficzne wrażenia. Są to wrażenia wartościowe i inspirowane. *Cuda Polski* dają możliwość skomunikowania się z czymś, co – w pewnym sensie – jest już obce i wymaga cierpliwego oswojenia. Czas w tym przypadku zaciera oczywistość i brak zdziwienia w stosunku do własnej kultury.

Z przyjętego tutaj punktu widzenia cennym walorem *Cudów Polski* jest to, że jako całość tworzą swego rodzaju mapę Polski. Cała kolekcja tytułów niczym układanka puzzle scala się w geograficzny kontur ówczesnej Polski. Przed oczami jawi się cały obszar kraju, rozległa przestrzeń, gdzie każda część emanuje swoją odrębną aurą. Chwilami może się wy-

dawać, że autorzy powzięli szczególną rywalizację, chcą bowiem udowodnić, że kraina, którą przyszło im opisywać, jest lepsza i bogatsza od pozostałych. Dlatego każdy portretując jakiś fragment Polski pieczołowicie wylicza miejsca niezwykłe a to ze względu na wydarzenia z przeszłości, to znowu dlatego, że skupiają uwagę dzięki dziwom przyrody. Jest więc rzeczą ciekawą, w jaki sposób wyobraźnia czytelnika została zaangażowana w taką lekcję geografii mitycznej. Ponadto *Cuda Polski* jako teksty kultury popularnej – czyli nastawione na masowy odbiór – adaptują pewne stare symbole, stereotypy i znaczenia wpisując je w nowy obieg.

Interesująca zatem wydaje się perspektywa pokazania matrycy organizujących analizowane teksty; pokazanie jak treści, które wydają się nowe – w istocie nowymi nie są, bo wyrażają z obszaru kulturowej pamięci.

Pokazane zostanie, w jaki sposób kultura posługuje się fantazmatem natury. Faktem jest, że każda kultura posiada własny obraz naturalnego kształtu przestrzeni i granic. To wyobrażenie stanowi fundament odbioru świata. Gdy coś odbiega od obrazu „zaplanowanego” przez naturę, rodzi się wówczas przekonanie, że świat uległ wypaczeniu. Logika mitycznego myślenia podpowiada, że taki stan rzeczy musi ulec zmianie. *Cuda Polski* są dobrym przykładem ilustrującym wyobrażenia tego typu w kulturze polskiej.

Prześledzę również problem potocznej wizji dziejów narodu. Uproszczona i popularna historia Polski stanowi kolejną wersję romantycznego mitu polskiej duszy. Będzie to próba pokazania jak żywotne były stereotypy stworzone przez romantyków.

Rozważania nasze rozpoczniemy od przytoczenia spostrzeżeń Jacka Woźniakowskiego, przedstawionych w książce o dziejach estetyki.

Padają tam słowa, z których dowiadujemy się, że mieszkańcy starożytnej Italii zajęci byli nie tylko zbieraniem plonów pod gorącym południowym słońcem, ale równie mocno trudzili się, by „nasyć krajobraz kulturą”¹. Osiągnęli w tym znaczne i zauważalne sukcesy, chociaż rzecz jasna oceniając postępy tego procesu, należy przykładać rozsądną i stosowną do epoki miarę. W każdym razie – powiada dalej Woźniakowski – nie może być jeszcze mowy o sytuacji odwrotu, to znaczy o „wymazywaniu z oblicza natury wszelkich śladów człowieka”². Droga przed owym procesem pozostawała wciąż otwarta i daleko było do kiełznięcia zapędów kultury, co znamionuje czasy współczesne – sugeruje *implicite* autor *Gór niewzruszonych*.

Tych kilka spostrzeżeń, rzuconych w *Górach...*, jakby mimochodem, zagubionych pośród innych konstatacji, tutaj ma pierwszorzędne znaczenie i zapowiada to, co będzie nas dalej zajmować.

* Jest to wersja fragmentów pracy magisterskiej napisanej w Instytucie Etnologii pod kierunkiem dr. hab. Czesława Robotyckiego

Dzieje się bowiem tak, że przestrzeń, która staje się domową określoną kulturą, z wolna ale wytrwale wyposażana jest w rozmaite znaczenie. To, co zawiera się w granicach danej kultury, nie może pozostać nieme i bezkształtne, obojętne wobec obecności człowieka jako takiej i zupełnie przypadkowe. Proces nasywania krajobrazu kulturą objąć musi wtedy możliwie wszystko: swoją odrębną i łatwą w identyfikacji nazwę posiadać musi zarówno wioska, w której żyje się na co dzień, postrzępiony pasmem gór horyzont, jak i rzeka płynąca opodal.

Owo „rozdrabnianie” przestrzeni to dopiero połowa drogi. Góra czy rzeka nabrać może specjalnego znaczenia, może skrywać w sobie niepowtarzalny i fundamentalny dla określonej kultury sens. Krajobraz zostaje nacechowany pewnymi wartościami. Tym bardziej nadaje się wtedy do zamieszkania. W przeciwnym razie pozostawałby uosobieniem chaosu i anonimowości, więc rodziłyby lęk³.

To wyposażenie aksjologiczne sprawia, że krajobraz stworzony zostaje na nowo. Dla uczestnika kultury przestrzeń geograficzna „obiektywnie” nie istnieje. Z tego punktu widzenia nie może być prawdą to, co głoszą nauki ścisłe, że mianowicie ludzi otacza całkowicie niema i nieczuła na rozterki materia. Kultura determinuje pewne złudzenia, a jednym z nich, generalnie występującym pod każdą szerokością geograficzną jest właśnie to, które każe wierzyć, że narodowa i uświęcona przestrzeń darzy swych mieszkańców wyczuwalną namiętnością, i że ze specyfiki krajobrazu wypływa duch narodu.

Jakieś imponderabilia decydują o tym, że pojawiają się „profetyczne znaki”⁴, np. znaki polskości (bo też te będą nas dalej interesowały) i funkcjonują w dialogu między człowiekiem i krajobrazem. Nie każdemu może się wydawać trafny pomysł nazywania tego dialogiem, skoro zasygnalizowane zostało, że obiektywnie rzecz biorąc przestrzeń jest raczej niema i beznamiętna. Jednak jakby tego nie nazwać, poruszać się będziemy w sferze percepcji mitycznej, a dla niej takie rzeczy są jak najbardziej możliwe.

Pochylmy się zatem nad tekstami *Cudów Polski*.

Warto przypomnieć, że motto otwierające każdy z tomów serii zaczerpnięte zostało z twórczości Aleksandra Fredry. – „To Polska – to ojczyzna nasza”, brzmią słowa poprzedzające tytuł każdego tomu, stanowiące wyznacznik poety romantyka, któremu dane było dostrzec urzekające piękno rodzimych stron.

Głos ten wyraźnie koresponduje z przesłaniem Wincentego Pola, którego możemy uznać za prekursora polskiego krajoznawstwa, i o którym wiemy, że uprawiał szczególnie rodzaj geografii. Jak zostało to wdzięcznie powiedziane, czytając słynną *Pieśń o ziemi naszej* poznajemy „wierszowaną geografii serdeczną”⁵. Bowiem miernikiem nowej wrażliwości patriotycznej jest to, jak bardzo zdołaliśmy „nauczyć się Polski” i nosić w sercu zapamiętane nadwiślańskie pejzaże.

Te same intencje *expressis verbis* ujawnia wydawca *Cudów...* Powiada tak ów anonimowy wydawca we wstępie do pierwszego tomu serii, czyli w *Morzu...* J. Smoleńskiego, kreśląc przy okazji kontury mapy odrodzonej Rzeczypospolitej. Chodzi więc o:

„(...) miłosne spojrzenie (na) wszystkie cuda i skarby krajobrazu polskiego, od wybrzeża morskiego po Wołyń i Polesie, od Łucka po Puck, od Podhala do Białowieży, od Mickiewiczowskiej Litwy poprzez Szopenowskie Mazowsze do Grotgerowskiego Lwowa (...)”⁶.

Polska w nowych granicach, scalona nie bez trudu i ofiar

z trzech części po ponad stu latach zaborów, to całkiem nowe państwo. Obecny czasami akcent obawy o przyszłość restytuowanego państwa koi sugestywny, optymistyczny ton. Zjednoczenie Polski to zarówno wynik starań Polaków, jak i przejaw działania – powiedzielibyśmy – naturalnych praw albo mitycznej sprawiedliwości dziejowej. „Zostały wreszcie same u siebie te kolory przyrodzone, jakie dał Pan Bóg ziemi polskiej...”⁷, słyszymy wyraźnie, co z pewnością znaczy, że nie do zaakceptowania był stan rozdzielenia czy wręcz niebytu tego, co istnieć powinno i powinno stanowić organiczną całość.

Przyrodzone sobie kolory składają się jednakowoż na całkiem udaną kompozycję. Mapę Polski widzimy jako mozaikę wielu krain, dopełniających się wzajemnie niczym barwy tęczy, gdzie każda z osobna posiada specyficzny walor.

A więc mamy Pomorze, gdzie widnieją spokojne zwierciadła jezior i gdzie ujście Wisły do Bałtyku. To cenne okno na świat.

Śląsk, gdzie lud oparł się zaborcom mimo kilkusetletniego oderwania od macierzy. Śląsk, „kraina czarnych diamentów i kominów fabrycznych”⁸.

Wielkopolska – „kolebka Polski, kraj orłów białych”⁹ i żyznych gleb.

Oto ziemia krakowska, czyli prawdziwy kalejdoskop wrażeń widokowych: turnie tatrzańskie, Beskidy, jaskinie Jury.

Sandomierszczyzna – tam powstaje nowoczesny przemysł, tam opar tajemniczej puszczy jodłowej.

Wołyń i Polesie – krainy, gdzie znaleźć można urodzajne niwy i jeziora, jak również nieprzebyte puszcze i mokradła broniące dostępu w głąb.

Dwoma drogocennymi przyczółkami na kresach są miasta: Lwów – „semper fidelis” i „potężna twierdza polskości”¹⁰, a także „dumne” Wilno.

Wreszcie przyjdzie nam zauważyć Mazowsze, czyli splendor stolicy otulony nadwiślańskimi wydmami.

Warszawa leżąca w samym sercu Polski leży zarazem tam, gdzie wody Wisły osiagają połowę drogi do morza. To postrzegane jest jako okoliczność szczególnej wagi i o znamiennych konsekwencjach. Miejsce to jawi się wyjątkowym, bo znajduje się „w punkcie największej koncentracji *Białej Wody*”¹¹, to jest Wisły. A dzięki temu, sugeruje wydawca, jest to miejsce swoistej „koncentracji ducha polskości”, powiedzielibyśmy trawstując wcześniejsze słowa, miejsce „potężnej cywilizacji polskiej”¹², dopowiada wydawca przepelniony emfazą. Dowiadujemy się poniekąd czegoś, co wiemy od dawna: królowa polskich rzek ma nieposłednie zasługi, wynikające bynajmniej nie tylko z faktu, że jest główną arterią między górzystym południem kraju a nizinnym centrum i północą. Stolica – „symbol zjednoczenia i niepodległości w czasach najcięższej niewoli czarem zabytków architektonicznych i kulturowych promieniująca aż do najdalszych kresów państwa...”¹³ nie byłaby pewna swego, gdyby nie bryzy wiślane i ich utajona moc. Już tak być musi, że Wisła zawsze towarzyszy „stołeczności” polskiej. Kiedyś był Kraków, a teraz jest Warszawa, Wisła natomiast była i pozostała częścią stolicy.

Istnieje pewna kwestia, która boleśnie deformuje tę „serdeczną geografii” Polski. Wszak samo ujście Wisły do Bałtyku, jak i Gdańsk, nie należą do Polski. W *Morzu...* Smoleńskiego widać wyraźnie, jak funkcjonuje przekonanie o naturalnych, a więc usankcjonowanych jakimiś wyższymi siłami, prawach Polski do Bałtyku, prawach do całej linii Wisły, więc od źródeł po zatokę, wreszcie prawach do Gdańska. Kwestia

ta rodzi wyraźne i jednoznaczne akcenty rewindykacyjne. Ich podporą rzecz jasna jest chęć przywrócenia świata mitycznego, naturalnego porządku.

Co prawda zmieniło się wiele. Były przecież czasy krzyżackiej dominacji na Pomorzu. Zakon narzucał bezwzględnie swoją wolę, ignorując zdania racji Polaków. Dziękować Bogu:

„Zamki komturów legły w ruinie, hodowane sztucznie cechy obcości okazały się złudnym pozorem. Stare grody nad Wisłą są Polskie, jak Polska jest rzeka, która je wiąże”¹⁴.

Jednakże rzeczywistość wciąż odbiega od postulowanego stanu idealnego. Nadal zauważalna jest obca dominacja, dominacja niemiecka, chociaż nie byłoby błędem nazwać jej krzyżacką. W tym kontekście są to nieomal synonimy. Oto świadectwo zła sprzeniewierzonego naturalnemu łaadowi (choć wiadomo, że wyrażenie „naturalny ład” nie jest innym łaadem, jak mitycznym, partykularnym fantazmatem):

„Na północ od Tczewa, w miejscu, które zaledwie dwadzieścia kilka kilometrów dzieli od ujścia, opuszcza Wisła obszar Rzeczypospolitej, po którym zdążyła przeszło siedemsetkilometrowym biegiem, płynąc od samych źródeł przez polskie tylko ziemie. Zbierała po drodze w siebie wszystkie wody (...), ku wspólnemu, naturalnemu kierując je wylotowi, ku przyrodzonej bramie kraju. Droge przez naturę wytyczoną sztuczna granica o krok przed tym wylotem tamuje, bramę zamyka”¹⁵.

Jak można trafnie domniemywać, strona niemiecka przemawiała podobnym językiem. Dyskomfort terytorialny udzielał się obu stronom jednocześnie. Dla Niemców nie inne jak właśnie nienaturalne i sztuczne musiały być granice państwowe dzielące Rzeszę na dwie części. Bo, nie wiedząc czemu, pomiędzy nimi ulokowało się polskie Pomorze, pogardliwie nazywane „korytarzem”.

Gdy więc z chwilą wybuchu wojny polskie Pomorze stało się znów krzyżackie, bóstwo sprawiedliwości dziejowej zbierało pokłony. W przekonaniu Niemca patrioty dokonał się akt przywracania świata naturalnych kształtów.

W powyższym widać wyraźnie, jak łatwo i chętnie kultura żongluje pojęciem natury jako podstawą dla prawa, dziejów itp. Gdy zaistnieje potrzeba opowiedzenia o świecie takim, jaki rzekomo jest naprawdę, albo jak powinien wyglądać, kluczem zaczynają być rozmaite poetyckie warianty natury. Rzeczywistość dopiero ma sens, gdy zbieżna jest z wizerunkiem zaprojektowanym przez naturę. To ona jawić się może jako siła sprawcza świata. Natura może być też utożsamiana z Bogiem albo z tym, co Bóg pomyślał o świecie. Wtedy „naturalne” znaczy – zgodne z Boskim planem.

Dla nas ważny jest fakt, że owo pojęcie zawsze wpisuje się w doświadczenie kultury. Powyższe przykłady miały pokazać, jak ważną rolę odgrywa ono we współczesnej geografii mitycznej. Jednym słowem – uzasadnia ono sens takiej a nie innej przestrzeni. Sankcjonuje to, co już jest, albo postuluje zmiany, a że zawsze przemawia ono głosem lokalnych, niezliczonych mitologii, tu rodzi się podstawowa trudność i zarazem kusząca perspektywa dla antropologii.

Nie poprzestaniemy tylko na tym jednym przykładzie. Oto następne:

Wiadomą rzeczą jest, jak bardzo wymykają się jednoznacznym definicjom obszary tzw. pogranicza kulturowego. Wynika to z tego, że chodzi o styk dwu lub więcej kultur, czyli wzajemne przenikanie języka, religii, folkloru, czynników gospodarczych itp. Obszarem, do którego niewątpliwie moż-

na zastosować tę kategorię, jest Śląsk. Historia ostatnich parusetleci Śląska to nieustanne przemieszczanie się, a często bolesne ścieranie pierwiastków: polskiego, niemieckiego i czeskiego. Jeśli więc przyjdzie historykowi czy socjologowi wypowiadać się o skomplikowanych dziejach tej krainy, będzie musiał dokładnie ważyć każde zdanie. To oczywiście, skoro ma się do czynienia z tworem płynnym, ze złożonym amalgamatem różnych kultur.

Tymczasem narrator popularyzujący taką wiedzę jest na zupełnie innej pozycji i jego głos siłą rzeczy brzmi zgoła inaczej. Przepuszczając tę wiedzę przez pryzmat patriotycznego zaangażowania i symbolicznych odniesień mniej lub bardziej świadomie pozwala sobie ów narrator na wiele niefrasobliwości.

Tak przemawia Gustaw Morcinek na kartach *Śląska*. Rys historyczny tu zaprezentowany da się streścić właściwie w kilku słowach: stan permanentnej martyrologii. Odkąd „poszedł Śląsk na poniewierkę”¹⁶ oderwawszy się od Polski, coraz to cięższe klęski nękały mieszkańców tej dzielnicy. Winę za ten stan rzeczy ponoszą w mniemaniu autora „książęta Piastowicze, co ją (tj. ziemię śląską) za miskę soczewicy przetrwonili”¹⁷.

Dowiadujemy się, że nie brakowało wojen. Wojna trzydziestoletnia była koszmarem gwałtu i bezprawia. Samopas błakali się żołdacy cesarscy i szwedzcy. Epizod wojen napoleońskich to złe wspomnienie kontrybucji. Jednym słowem „los nie szczędził Ślązakom gorzkiego żywobycia. Głody, czarne mory, pożary miasteczek (...)”¹⁸ dopełniały obrazu chaosu i rozpacz.

Na domiar złego pojawiło się inne niebezpieczeństwo, mianowicie niebezpieczeństwo wynarodowienia. Najpierw była czechizacja, później germanizacja. Smutne były tego konsekwencje, bo niejednokrotnie Ślązacy zapominali, kim są naprawdę, mieli „zniekształcone dusze i skrzywione nazwiska polskie”¹⁹.

Sudety i Karpaty broniły niegdyś Polski. Wzdłuż tych gór biegła granica. Jednak od ponurej chwili oderwania Śląska, a tym bardziej od chwili zniknięcia Polski z mapy Europy w ogóle, naturalna zaporą jakby osłabła i pękła. Dwa wyraźne przesmyki w sudecko-karpackiej barierze, tj. Brama Morawska i Łużycka stają się – zdaniem Morcinka – kanałami, przez które wnika na Śląsk wszelkie zło. W tej sytuacji utrata polskości ziemi śląskiej wydaje się przesądzona. Ale to tylko pozory. Odnajdujemy duchową i jak pokazał czas, skuteczną broń przed miazmatami napływającymi tymi drogami:

„Wejścia ich zagroziły jedynie pacierz polski, przez matki Ślązaczki dzieciom przyswajany, i chropowate serca śląskie, co ziemię swą i archaiczny język polski ponad wszystko umiły”²⁰.

Pasmo cierpienia sporadycznie przerywał głos proroczy, kiedy odżywała stara legenda o śpiących rycerzach, czekających stosownego momentu, aby wyjść z ukrycia i pokonać wroga. Taką otuchę przynosiły słowa ludowego poety Jana Łyska. Dla niego wojna światowa zapowiadała zjednoczenie z macierzą i przebudzenie mitycznych wojów Chrobrego:

„Idzie chwila, idzie chwila, że usz na czole hnet nie będzie nosić lud tej korony cierniowej. Jak się powali las, co rós na grobie, to sie hnet wszyscy ruszom... Tej nocy wykopiom wielki kamień złoty, co tam na wyrzeczku gniece pierśi chłopom, a potem zastęp żywych – silno sie podwoi...”²¹

– wróżył romantycznie usposobiony poeta w *Śpiących rycerzach*.

Upragniona wolność nie przyszła łatwo. Droga do wyzwolenia obfitowała w trzy krwawe powstania. Gdy szła zwycięstw przechylała się na stronę nieprzyjaciela – Śląsk stawał się horrorystycznym obrazem:

„Postroiły się wtedy przydrożne wierzby polskimi wisielcami, konające usta naszeptaly wtedy ostatnich słów w ukrwawioną ziemię śląską (...). Kładli się w umiłowaną ziemię bez patosu, cisi, szarzy, bezimienni, ojciec obok syna, brat obok brata...”²².

W tego rodzaju wypowiedziach używanie nader często słów „ziemia”, „krew” nie jest wyłącznie zabiegiem metaforycznym. Daje o sobie znać mityczne przekonanie, że związek między człowiekiem, co za tym idzie jego krwią jakby surogatem duszy, a ziemią jest nierozzerwalny i obiektywnie narzucony. Z prochu ziemi powstałeś – poznajemy fundamentalną dla człowieka prawdę Biblii. Fakt ten dla patrioty romantyka nie jest niczym złym. Przeciwnie, największe spełnienie znajdzie on, gdy po śmierci spocznie w ojczyźnie.

Ze słów Morcinka pobrzmiewa to, co później dobitnie ukazał Norman Davis²³. Istnieje mianowicie bardzo silne mityczne przekonanie, że geny kultury tkwią w ziemi, więc ziemia raz na zawsze zdeterminowała to, kim jesteśmy. Innymi słowy, odnosząc problem do tekstu, który analizujemy, absurdem by było, gdyby ktoś urodzony na Śląsku – czyli w Polsce – uważał się za Niemca.

Tymczasem przychodzi moment wyzwolenia. Świat zagrożony do tej pory w chaosie, wykrzywiony granicami dalekimi od naturalnej doskonałości, zostaje naprawiony, zyskuje nowe i właściwe kształty.

„A w dniu 20 czerwca 1922 r. przychodzą wojska polskie i zajmują odwieczną ziemię polską na wieczystą własną”²⁴.

Jak w przypadku przyłączenia Pomorza do macierzy akt ten posiada sankcję sprawiedliwego wyroku konieczności dziejowej, więc jest nienaruszalny po wszystkie czasy. Świadczy o tym rytualna i patetyczna oprawa całego zdarzenia. Dominuje blask, barwa słońca, zdaje się nawet, że znaki radości posyła sama przyroda:

„A ponad czarną ziemię niosło się błogosławiące słonko czerwcowe, szumiały na wiatr rozwiane chorągowie polskie, a całym światem śląskim szła jedna, pijana wieść, że nareszcie przyszło wyzwolenie”²⁵.

Tyle, że jak się szybko okazuje, sukces jest połowiczny. Wymarzony i wymodlony kształt Śląska nie doczekał się pomyslniej realizacji. Podobnie jak Smoleński, Morcinek ma powody do żartów. Obu autorom z tych samych powodów udziela się poczucie braku pełni komfortu. Prawa Polski do Śląska ilustrują wymownie zamieszczzone na wstępie mapki. Wynika z nich, że Polacy mieszkają daleko poza zachodnią granicą. Zupełnie źle została ustalona granica dzieląca Cieszyn na polski i czeski. Dezaprobatą Morcinka wynika z faktu, że taki Cieszyn podupada, „zamienia się w miasto emerytów, ciche, spokojne, idące spać z kurami”²⁶.

Przestrzeń nadal jest rozdarta, ustanowiona z wyraźnym defektem, przez co za każdym razem, gdy Morcinek spogląda na drugi brzeg Olzy, ma dziwne odczucie, gdyż przygląda się „ziemi naszej, nie naszej”²⁷.

Niepodważalna prawda ukazuje ten fakt, że jedynie polskość Śląska stanowi jego tożsamość. Dlatego należyć głosić prawdę, która nie godzi się tutaj na żaden kompromis. Tymi oto słowami autor przedsiada o sprawie:

„Cieszyńskie Towarzystwo Ludoznawcze i katowickie Towarzystwo Przyjaciół Nauk (...) tworzą jakoby nową

szkołę historyczną, której zadaniem jest stwierdzenie na podstawie odkrywanych przez siebie dokumentów, iż ziemia śląska nigdy inną nie była, jak jedynie tylko polską, że język czeski czy niemiecki w urzędach i kościołach śląskich – to był zwiewny nalot, osad, duszący pył niemrawy, który nie sięga w jądro ludu śląskiego”²⁸.

Zatem tożsamość warunkują nie tylko tajemnicze „geny” tkwiące w ziemi, którymi obdarowany zostaje każdy krajan. Jak wynika z powyższego cytatu, dzieje się coś więcej – ziemia emanuje jakby mową, językiem śląskim i polskim. Wszelkie przejawy obecności innego języka traktowane są jak nienaturalne odstępstwo, które rychło będzie usunięte. Rację bytu ma tylko polska mowa, doczekawszy się głośnego i przenikliwego brzmienia. Istotą ziemi definiuje język, więc obce naleciałości nie zasługują na lepsze miano niż osad, skodorodowany i duszący pył. Bardzo szybko poradzili sobie ze „sztucznym nalotem niemieczyzny”²⁹ Wielkopolanie, a nie ulega wątpliwości, że znajdowali się w sytuacji najcięższej – to przeciw nim wymierzony był pruski Kulturkampf. Zamiar pozbawienia Wielkopolan „przywiązania do wiary ojców i języka” sprzężony był z chęcią wyparcia, wyrugowania polskości z jej odwiecznych siedzib. *Cuda Polski* stają się swoistym holdem złożonym ludziom, którzy nie dopuścili do naruszenia uświęconego, narodowego stanu. I z pewnością hold należy się pracowitym i walecznym mieszkańcom Wielkopolski. Oczyszczili swój kraj z symboli obcej dominacji, ale też zdołali przyłączyć skrawek dawnych ziem Dolnego Śląska, podówczas, zdawało się, straconych bezpowrotnie.

Znamienne, że w tego typu kontekstach kluczową rolę odgrywa kategoria „odwieczności”. Odwieczność – czyli rzecz wpisana w dzieje świata od niepamiętnych czasów, coś świętego i ustanowionego na samym początku. Odwieczność i natura kojarzone są ze sobą i każdorazowo korygowanie przestrzeni łączy się z używaniem czy nadużywaniem tych pojęć.

Tak więc, gdy spoglądamy na południe od Poznania niepokoi „reszta tych odwiecznych, piastowskich dziedzin polskich (...) poza granicami Rzeczypospolitej”³⁰. Kolejny raz kwestionuje się bariery, które rozgraniczają przyrodzone sobie krainy. Krajobraz pęknięty, z wyraźną skazą sprzeniewierza się przywołanej tu kategorii odwieczności. Odwieczny stan rzeczy winien kształtować granice między narodami, tymczasem widzimy, że tak nie jest.

Zasygnalizowany już wcześniej motyw gór jako twierdzy, naturalnej zapory broniącej dostępu do przestrzeni *interioru*, szczególnie często powtarza się u Ossendowskiego.

„Karpaty polskie od Beskidów Zachodnich aż po Czarnohorę – od zarania naszych dziejów stały się widownią wypadków o niezmiernej doniosłości historycznej (...)”³¹.

Widać wyraźnie, że tak ujęte góry nie są beznamiętnym przedmiotem, pozbawioną ducha konfiguracją topograficzną. Uwypuklane zostaje to, że góry są podmiotem historii stojącym zawsze po stronie rodaków autora. Zaslug więc można zliczyć wiele. W przekonaniu Ossendowskiego szczyty rozgraniczały dwa zantagonizowane obszary. Strona polska zawsze była uosobieniem doskonałości, „krajną szczególnych wysiłków i cnót niecodziennych”³². Natomiast południowe stoki pasma karpackiego wartościowane są zdecydowanie negatywnie. Dowiadujemy się, że stamtąd nacierało najrozmaitsze zło:

– „zgorzenie, pogarda prawa, obojętność do ładu (...), niepewność jutra...”³³,

– „bandy zbójckie panów madziarskich i opryszków polskich, opilstwo, zbytek, nierząd polityczny”³⁴,

– „chciwi i zuchwali konkwistadorzy madziarscy”³⁵.

To tylko mała próbka nazwanego wprost i po imieniu zła. Nasuwa się wniosek, że autor nie podzielał pozytywnego stereotypu głoszącego, że Węgier i Polak to dwa bratanki... Ossendowski robi, co może, aby pokazać prawdę dementującą ów stereotyp. Siła złego była częstokroć tak ogromna, iż nawet zaangażowane w walkę góry nie mogły jej sprostać.

Jednakże skończył się czas podobnych waśni i chaosu. Dzień, w którym autor opowiada o tym wszystkim, jest dniem pokoju i budowania nowego świata. Zmory przeszłości zostały odpędzone, więc polski duch opanowuje z powrotem swoje odwieczne dziedziny. „Polakami jesteśmy, solą tej ziemi i jej władcami”³⁶ – daje o sobie znać ziarno prawdy tkwiące w sercach wieśniaków karpaccich, niby zrusyfikowanych, pozbawionych „właściwej” wiary i mowy.

Jak widać, wszechobecny jest spór o przewagę pierwiastka polskiego. Z wielką pasją angażuje się w to Ossendowski, często polemizuje z nacjonalistami ukraińskimi, chcącymi udowodnić wpływy kultury ukraińskiej sięgające aż po Orawę. Faktem bowiem jest to, że legendarni Wiślanie napłynęli na te ziemie jako pierwsi. Co najwyżej można zgodzić się na domieszkę krwi równie legendarnych Alanów, peroruje dalej autor³⁷. Zupełną niedorzecznością jest domniemywać, jakoby Łemkowie czy Huculi posiadali domieszkę „krewi połowicko-mongolskiej z dzikich pól Ukrainy”³⁸.

Śledzenie „cudopolskich” pejzaży, poznawanie strona po stronie dziejów i zabytków kultury polskiej, osadzone jest – rzecz jasna – na narracji o historii. Mamy tam do czynienia ze szczególną lekcją historii. Chodzi o to, że opowiadaniem rzadzi specyficzna prawidłowość. Wyraźnie i często zauważalny jest pewien schemat oglądu przeszłości, a tworzą go trzy stereotypowe ujęcia. Oczywiście nie są te stereotypowe ujęcia wyodrębnione ścisłymi cezurami czasowymi. Płynnie przypisane są faktom, gdyż ich głównym celem wydaje się być zbudowanie określonego nastroju.

Oto mamy pierwszy obraz z przeszłości: czasy piastowskie i okres panowania Jagiellonów zawsze przywołują dobre skojarzenia. Konotowane są z pojęciem mocarstwowości, siły – wszak była to epoka triumfalnych zwycięstw i potęgi. Jednym z wielu, którego zasługi powinno się pamiętać, był Kazimierz Wielki. Cała uwaga odbiorcy *Cudów...* skupiona zostaje na wypunktowanych pieczołowicie epizodach umacniania i ekspansji kultury:

„Ten energiczny i mądry król dał kulturę, ustrój państwowi i dobrobyt ludności Karpat, Podkarpacia i ziemi halińskiej (...). Jak inny król – Bolesław, tak i Kazimierz troszczył się o kolonizację podkarpackich krajów przez podanych sobie rycerzy – Polaków, Wołochów, Węgrów, Niemców i Czechów, nadając im ziemię, popierając budowę zamków i grodów obronnych (...) i krok po kroku spolszczając obcokrajowców, osiadłych w granicach jego królestwa”³⁹.

Po tym następują czasy będące pełnym przeciwieństwem legendarno-piastowskich narodzin i prosperity jagiellońskiej. Obraz drugi prowadzi wyobraźnię po obszarach zamętu i niepokoju. Dominuje więc nastrój smutku, czemu trudno się dziwić, gdyż nie sposób opisać innym językiem długich lat niebytu państwa, które przed chwilą mieniło się potęgą. Trudno w inny sposób uzmysłowić dołą Polaków, ciężką i nie do pozazdroszczenia. Jeżeli w tym kontekście może pojawić się nastrój radości czy dumy, to wynika on jedynie z nadziei oraz przekonania o mesjanistycznej misji narodu. Polska jako antemurale – przedmurze chrześcijańskiej

Europy, istnieje nadal. Co prawda, nienamacalnie, politycznie, ale w sercach ludzi, dzięki duchowemu wysiłkowi i woli przetrwania.

„Podnosząc oczy do najwyższych szczytów symbolu, ujrzymy Wilno – wśród mroków niewoli, chaosu dzikich sił i wrażeń przemocy – w postaci bohaterkiej i świętej”⁴⁰.

– głosi J. Remer oprowadzając po dziejowych meandrach Wileńszczyzny.

Pomimo że historia tak źle obchodziła się z Wilnem, właśnie ten ponury czas zaborów nadał właściwej mocy symbolom reprezentującym miasto i kulturę polską. Zgodnie z logiką tego romantyczno-historycznego mitu okoliczności takie, jak klęski powstańcze, dominacja zaborców i niszczenie kultury polskiej, utwierdzały w gruncie rzeczy pozycje Wilna i Lwowa. Paradoksalnie, dzięki temu zasłynęły one jako bezcenne twierdze na wschodnich rubieżach.

Tu mieści się cytowany już wcześniej martyrologiczny ton Morcinkowskiego *Śląska*. Ten rozdział historii przywołuje nieodparcie pamięć o rusyfikacji, cały ciąg skojarzeń opiera na kategorii „swój – obcy”, gdzie obcość agresora zostaje wyeksponowana do granic możliwości. Jak relacjonują autorzy, nie oszczędzono wysiłków, aby odium burzenia i niszczenia spadło na fasady kamienic i domów. Stawiano „pomniki habsburskiej okupacji”⁴¹, rozmaite „okazy stylu koszarowego”⁴², urągające naturalnej architekturze miast. Nowy wizerunek przestrzeni zyskiwał wyłącznie miano pokraczności. Co gorsza, podobny los spotykał kościoły. Naruszano, profanowano miejsca, w których sacrum we właściwym słowach znaczeniu skupiało się ze świętością narodową.

„Chcąc narzucić Wilnu niezatarte piękno miasta na wskroś rosyjskiego, rozpoczął Murawjew (...) niszczenie lub przerabianie kościołów (jak św. Kazimierza, Augustianów, Wizytek, Pana Jezusa na Antokolu, św. Trójcy i in.) na cerkwie, które w potwornych formach z cebulastymi kopułami zatraciły pierwszy, artystyczny wygląd z obliczem miasta od wieków zrosnięty”⁴³.

Jest to ponadto czas rugowania polskiego języka. „Zabrania się mówić po polsku”⁴⁴ – unaocznia nam ten fakt fotografia tablicy ostrzegawczej. Tożsamość wyrażająca się jak wiadomo w odrębnej mowie, nie znajdowała wtedy korzystnego klimatu do zmanifestowania swej obecności. Mogła co najwyżej pobrzmiwać ścisłym głosem, w ukryciu i szeptem.

Trzeci obraz dotyczy historii najbliższej: wyzwolenia i powszechnej radości. Moment pojawienia się Polski na mapie Europy, chwila, od której zegar dziejów rozpoczął odmierzenie nowego czasu, jawi się jako przełomowa godzina, jak czas pod każdym względem niezwykajny. Przypomina to nieco *rites de passage* – tę fazę rytu, w której dokonanie przejścia okupione zostało trudami czy wręcz stanem niebytu – i teraz wszyscy zauważają odmienioną rzeczywistość, otoczenie stworzone jakby na nowo i pełne świeżych barw. Nikt nie ma wtedy wątpliwości, że optymizm i wiara w świetlaną przyszłość powinny być drogowskazami. Zauważyć można to zwłaszcza u Ossendowskiego, gdzie ów schemat historii uproszczonej, operującej sugestywnymi i czytelnymi nastrojami, widoczny jest najczęściej. Tak skonstruowana narracja odnosi się do teraźniejszości, ale też projektuje wizję przyszłości. Napięcie między tym co było – czyli odpychającym złem, a tym co jest i będzie – czyli pokojem, pracą i dostatkami, uzmysławia, że horrendalne sceny nie wrócą. Co najwyżej sporadycznie natkniemy się na straszącą pamiątkę z historii, jak na przykład na tę z drohobyckiego kościoła, tj.

malowidło przedstawiające rzeź w Humaniu z powstania Chmielnickiego⁴⁵.

Schemat historii porządkujący złożoną i wielowątkową przeszłość zdradza obecność myślenia mitycznego. Summa summarum trzy obrazy – jak wynotowaliśmy – tj. legendarna praprzyszłość, dalej – martyrologiczna i cierpiętnicza epoka ulokowana gdzieś w środku, wreszcie terażniejszość – pretendująca do obiektywnego i prawdziwego doboru wydarzeń. Tymczasem dobór wydarzeń zawsze dokonuje się w oparciu o jakiś klucz, zawsze jest określoną selekcją faktów.

Jakie przesłanki skłaniają do wyciągnięcia takich wniosków i dlaczego po raz wtóry pojawia się tutaj pojęcie mitycznego myślenia. Jak odnieść się do tego, co zostało określone schematem postrzegania historii? Jak zatem zrozumieć funkcjonowanie tego schematu, a nawet pokusić się o dostateczne jego wyjaśnienie?

Zastrzeżenie, które należy postawić w tym miejscu, brzmi, że nie jest intencją analizy dyskredytowanie jakiegokolwiek zjawiska odkrywanego na stronach „cudopolskiej” serii. Czy chodzi o przekonanie, że krajobraz przemawia oczyszczoną mową, czy o mityczną percepcję dziejów – abstrahując od wartościowania lub oceniania. Często używane pojęcie mitu może rodzić podejrzenie, że cała rzecz polega na pokazaniu zabobonnej fantazji albo zbiorowego skrzywienia umysłowego. Mit w tym znaczeniu stał się wyposażeniem publicystyki i niech już tak zostanie, że ona ma prawo oceniać i obnażać to, co mityczne – pełne przesady, bredni i andronów.

„Mit niczego nie ukrywa, niczego nie uwidacznia – mit deformuje; nie jest ani kłamstwem, ani wyznaniem, jest odchyleniem”⁴⁶. Tymi słowami najbardziej lapidarnie streścił Roland Barthes specyfikę mitu, którym posługuje się antropologia. Francuski humanista definiował pojęcie mitu opierając się na tezach strukturalizmu. Dużo wagi poświęcił interpretowaniu mechanizmów tworzenia się tekstów literackich, tekstów kultury w ogóle.

Zgodnie z wykładnią Barthesa mit, z którym mamy do czynienia współcześnie i który generuje całe spektrum kultury – począwszy od filmu, fotografii, reportażu, sportu, skończywszy na reklamie – należy rozumieć jako metajęzyk. Metajęzykowość mitu polega na tym, że przywłaszcza on sobie rozmaite znaki (znaki = korelacje signifiant i signifié), wrywa je jakby z pierwotnego położenia i wypowiada się o nich ponownie, ale już wtórnie. Język mityczny posługuje się znakami wedle pewnej reguły. Znaki, które w normalnym, pierwotnym systemie stanowią finał, w systemie mitycznym stanowią początek, tzn. pozyskane przez mit stają się „znaczące” (czyli signifiant).

Podłożem każdego mitu jest pojęcie. Dostrzegamy natomiast to, co ono uzewnętrznia – formę. Dopiero skojarzone pojęcie i forma, odpowiedniki znaczonego i znaczącego (signifié i signifiant) dają nową materię, przekaz metajęzykowy, mityczny. Mit w ujęciu, aby stworzyć, jak powiada Barthes, wtórny tekst kultury, i aby uzasadnić, uprawomocnić pojęcie – czyli to, co jest rdzeniem mitu – przerabia i pozyskuje to, co już jest w kulturze. Mit bowiem jest „słowem skradzionym”. Przywłaszcza sobie znaki z pierwotnego systemu semiotycznego i uzasadnia lub nawet „nadmiernie uzasadnia” zdaniem Barthesa, znaczenia w nowym kontekście⁴⁷.

Najczęściej dochodzi też do przemieszania różnych języków, które odrębnie traktują rzeczywistość. Język opisu świata przez pryzmat nauki miesza się z językiem sztuki, język sztuki z językiem mitu.

Podobną sytuację mamy w analizowanym stereotypowym odbiorze dziejów narodu. Historia zostaje zmiksowana z literaturą, synonimem sztuki w tym ujęciu. Natomiast język mitu – „organizujący zbiorową wyobraźnię wokół wartości”⁴⁸ – sens i prawdę przenosi na obszar nauki. I jak przystało na mit, dzieje się to w sposób kategoriyczny.

Otóż zasób faktów, czyli domena historii – nauki, zbiorowa wyobraźnia skłonna do mityzacji traktuje zgodnie z przytoczonymi wyżej regułami. Historia jako nauka rejestruje wydarzenia i poszukuje obiektywnych modeli wyjaśnienia. Percepcja mityczna wyposażona w znaki i idee z dziedziny sztuki selekcjonuje przeszłość tak, aby stworzyć obrazy i nastroje ilustrujące wartość, piękno i sens. To, co można było jeszcze przed chwilą podejrzać o byt tymczasowy, warunkowy i zmienny, gdy ulegnie mechanizmowi mityzacji jawi się jak „realność bezwarunkowa”⁴⁹. Zmityzowana treść w nowej formie to treść największej wagi i niezależnie od niczego trwająca w świecie.

Co więcej, treści wzięte w posiadanie mitu i usankcjonowanie „pojęciem” (signifié) uchodzą za naturalne, więc obecne od zarania świata i by tak rzec nieodzowne, aby świat mógł trwać nadal.

Uważam, że pojęciem, które kreuje mityzowaną wersję historii Polski, jest romantyczna wizja polskości. Autorzy „cudopolskich” monografii niewątpliwie byli dłużnikami tej tradycji estetycznej i światopoglądowej. Z jednej strony dawali świadectwo tego, co sami czuli, z drugiej podejmowali gotowe teksty w kulturze, zrozumiałe dla wszystkich, przystające do ogólnonarodowej wrażliwości. W gruncie rzeczy byli kompilatorami bogatego zasobu stereotypów, głosów z przeszłości i terażniejszości, poszczególnych elementów krajobrazu. Nie były to wszak przypadkowe zestawienia. Zarówno narracja, familiarna czasem gawęda autora przewodnika, jak i uzupełniająca warstwa ilustracyjna w postaci rozmaitych fotografii potwierdzają nadrzędną kwestię. Ujawniają, że serce nie może mylić się – serce, które podpowiada, że wartość i sens jest pochodną „polskiej duszy”.

Wiemy w takim razie, jakie mechanizmy doprowadziły do powstania tej specyficznej wizji historii. „Polska dusza” – szczególnie doświadczana, mająca za sobą heroiczną przeszłość, wszak zmuszana do wyparcia się własnej tożsamości – stała się trzonem mitu. Wygenerowany dzięki temu pojęciu narodowy mit, odchylający i deformujący różne teksty kultury, nie powinien – zgodnie z intencją Barthesa – uchodzić na kłamstwo. Podlega innym prawom. Organizuje zbiorową wyobraźnię i obowiązuje każdego uczestnika kultury. Będąc faktem intersubiektywnym zmityzowany sąd o dziejach i własnym narodzie rzuca światło na to, jak lokalnie odbiera się rzeczywistość.

Analizowana tutaj seria monografii krajoznawczych jest dobrym przykładem, jak teksty kultury popularnej przywołują i umacniają schematy mitów narodowych. Trudne do przecenienia wysiłki autorów „Cudów...” to nie tylko modelowanie przeszłości. Jak pokazałem wcześniej, uwaga skierowana zostaje na dokładne zliczenie tego, co polskie, co emanuje narodowym wdziękiem. Intencją autorów stało się jakby skatalogowanie rzeczy wielkich, ale też drobnych niezauważalnych do tej pory. Jakby spraw priorytetową było nadanie temu wszystkiemu symboliczno-narodowej oprawy.

Gdy więc przyjdzie odpowiedzieć skąd wziął się na stronach popularnej serii taki osobliwy ton „nieprawdziwej” historii, dojdziemy do tezy, że to romantyczny kanon wrażliwo-

ści był sprawcą i natchnieniem. Jest zresztą faktem, że ów kanon dominował, jak i dominuje całkiem współcześnie w naszym tj. polskim odbiorze rzeczywistości. Zaryzykować można spostrzeżenie, że ten schemat mitycznego odbioru historii – w tekstach Ossendowskiego, Morcinka, Remera i innych rozpięty na przestrzeni kilku wieków – przeniesiony został na okres stu lat bez mała wieku XX-go. Mamy podobną recepcję wydarzeń, tym razem w mikroskali: Dwudziestolecie międzywojnia w potocznym odbiorze istnieje niczym legendarny czas potęgi państwa, narodu, kultury. Następnie trafiaamy na antytezę tego, co wyżej; wojna i powojenna okupacja radziecka. Narzucony siłą komunizm pociąga za sobą konieczność obrony tożsamości. Otwiera się nowy rozdział he-

roicznej walki. Stare symbole wyrażające mityczną polską duszę pojawiają się w nowych kontekstach. Rodzą się nowe znaki. Ich wymowa ulegała wzmocnieniu zwłaszcza, gdy wychodziły na światło dzienne z „podziemia”, z obszarów zakazanych i zwalczanych przez władzę. Solidarna walka bądź opór przynoszą w końcu efekt. Moment przełomu to rok 1990. Odtąd Polacy żyją w III Rzeczypospolitej, już nie wasalnej wobec kogokolwiek, ale w pełni suwerennej. I tu znowu, zgodnie z potocznym przekonaniem, nie liczą się inne przesłanki, jak te wynikające z logiki mitu. Odrodzenie się niepodległej Polski to zasługa wyłącznie niezniszczalnego pierwiastka polskości a nie np. totalnej zapaści ekonomicznej systemu z gruntu niewydolnego.

PRZYPISY

- ¹ J. Woźniakowski, *Góry niewzruszone*, Kraków 1995, s. 18
- ² Tamże, s. 18
- ³ Zob. J. Kolbuszewski, *Przestrzenie i krajobrazy*, Wrocław 1994, s. 5–8
- ⁴ Określenie Kolbuszewskiego, tamże, *passim*
- ⁵ Tamże, s. 248
- ⁶ J. Smoleński, *Morze i Pomorze*, Poznań 1928, s. 16
- ⁷ Tamże, s. 15
- ⁸ Tamże, s. 10
- ⁹ Tamże, s. 10
- ¹⁰ Tamże, s. 13
- ¹¹ Tamże, s. 12
- ¹² Tamże, s. 12
- ¹³ Tamże, s. 12
- ¹⁴ Tamże, s. 163
- ¹⁵ Tamże, s. 163
- ¹⁶ G. Morcinek, *Śląsk*, Poznań, s. 1
- ¹⁷ Tamże, s. 4
- ¹⁸ Tamże, s. 2
- ¹⁹ Tamże, s. 4
- ²⁰ Tamże, s. 2
- ²¹ Tamże, s. 5–6
- ²² Tamże, s. 6
- ²³ Zob. N. Davis, *Boże igrzysko. Historia Polski*, t. 1, Kraków 1989, s. 62–63
- ²⁴ G. Morcinek, *op.cit.*, s. 11
- ²⁵ Tamże, s. 11–12
- ²⁶ Tamże, s. 46
- ²⁷ Tamże, s. 48
- ²⁸ Tamże, s. 15
- ²⁹ J. Smoleński, *Wielkopolska*, Poznań 1930, s. 70
- ³⁰ Tamże, s. 155
- ³¹ F.A. Ossendowski, *Karpaty i Podkarpacie*, Poznań 1939, s. 14
- ³² Tamże, s. 14
- ³³ Tamże, s. 20
- ³⁴ Tamże, s. 99
- ³⁵ Tamże, s. 128
- ³⁶ Tamże, s. 183
- ³⁷ Tamże, s. 189
- ³⁸ Tamże, s. 56
- ³⁹ Tamże, s. 21
- ⁴⁰ J. Remer, *Wilno*, Poznań 1934, s. 169
- ⁴¹ S. Wasylewski, *Lwów*, Poznań, s. 102
- ⁴² Tamże, s. 102
- ⁴³ J. Remer, *op.cit.*, s. 182
- ⁴⁴ Tamże, s. 182
- ⁴⁵ F.A. Ossendowski, *op.cit.*, s. 211
- ⁴⁶ R. Barthes, *Mit i znak*, Warszawa 1970, s. 48
- ⁴⁷ Tamże, s. 25–36
- ⁴⁸ L. Kołakowski, *Obecność mitu*, Paryż 1971, s. 7
- ⁴⁹ Tamże, s. 7

